Dnia 26 stycznia № 7 roku 1838.

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

SREBRNY PIERŚCIEŃ.

(Ciąg dalszy).

— Otrzymana rana silniejszy nadała postęp namiętności Bennezonsa. »Kochany Felixie,« rzekł on w kilka dni potem do Cortaila, »ty jesteś moim powiernikiem, posłuchaj mnie więc. Ja kocham twoją kuzynkę, nie uśmiechaj się, ja ją ubóstwiam i mam nadzieję, że mi Anastazya sprzyja. Znasz moją familię, mój majątek, a nadewszystko mój charakter; wstawisz się za mną u pani Chateauvieux?« — »Trzymajmy się porządku; ja o innej okoliczności mam z tobą do pomówienia,« odpowiedział Felix, »tu mam list od jenerała Amirauld, który mi donosi, że jestem mianowany szefem batalionu w 39, a ty kapitanem w tymże pułku. Naprzód załatwiemy ten interes, a potem przejdziemy do miłości:« — »Ta nominacya polepsza niewątpliwie moje położenie, ale, życząc sobie wejść w stosunki z panną Chateauvieux, powinienem zasięgnąć względem tego jej zdania. Od kilku dni rozmawia pani Chateauvieux zemną bardzo otwarcie i z tego, com od niej słyszał, wnosić muszę, iżbyto niechętnie widziała, gdybym znowu wszedł w służbę. Znasz moje położenie, znasz mnie lepiej, niż ja się sam; bądź więc moim pośrednikiem.«

Cortail przyjął to posłannictwo, ale na pierwsze słowa jego, rzekła pani Chateauvieux dość surowo: »pan Bennezons niepotrzebuje pośrednika.« Ta odpowiedź odebrała tylko Cortailowi odwagę, a wieczorem, gdy się kochanek z matką sam na sam znajdował i o rękę Anastazyi prosił, odpowiedziała mu pani Chateauvieux: »panie Bennezons, coś mi pan powiedział, czyni wprawdzie zaszczyt mojej córce, ale ja panu winnam otwarte wyznanie. Majątek pana jest nieznaczny, równie jak i nasz; familia pańska jest dobrą, jak i moja. Pan kochasz Anastazyę, i ja panu otwarcie wyznam, że Anastazya panu sprzyja. Ale w naszych czasach honor wszystkie inne namiętności zwalczać powinien. Każdy to słowo inaczej sobie tłumaczy; ja i córka moja rozumiemy przez to stałość zasad, przysięgi wierności. Jednem słowem — oświadczam panu bez ogródki, iż nigdy oficer w służbie teraźniejszego rządu nieotrzyma ręki Anastazyi.« — »Łaskawa pani,« odpowiedział Bennezons z zapałem, »Cortail już pani zapewne powiedział, że gotów jestem podrzeć mój patent. Oficer dawnej gwardyi, wierny swoim zasadom, swojej przysiędze i swemu monarsze stoi przed panią.« — Pani Chateauvieux uśmiechnęła się i rzekła: »to jest coś, ale jeszcze niedosyć. My kobiety żądamy większych poświęceń, aniżeli mężczyzni. Księżna Berry, która się obecnie w Massa znajduje, może w każdej chwili wylądować w Marsylii, a jej obecność ożywi na nowo ducha naszego stronnictwa, my kobiety niemożemy mieć udziału w walce, ale skarbiemy dla walczących nadgrody, któremi rozrządzamy. Anastazya dzieli w tym względzie moje zdanie, jednem słowem, „droga do ołtarza idzie przez

Wandeę.« — Armand odpowiedział żywym głosem. »Jutro, łaskawa pani, wyjeżdżam do Wandei; czy pani poruczysz mi jeszcze szczególne zlecenia?« — »Kilka listów. Jestem szczęśliwą, iż pana takim znajduję, jakim widzieć go sobie życzyłam. Jedź pan, i przybądź prędko do nas. Jeżeli cię niespodziewane okoliczności niewstrzymają, znajdziesz nas w Genewie i przekonasz się, że umiemy być wdzięczne.« — Na te słowa, które się wszystkiego spodziewać kazały, skłonił się młody oficer i pocałował po drugi raz rękę, którą mu pani Chateauvieux podała. Następnie uczynił wszystkie przygotowania do podróży. Wieczorem dopiero udało mu się przepędzić chwilę z Anastazyą.

— »Wyznałem przed matką, czego nieodważam się powtórzyć przed panią,« rzekł Bennezons drżącym głosem; »im droższy jest cel, do którego dążemy, tem większych wymaga poświęceń. Ja się poddaję temu prawu, którego słuszność serce moje uznaje, choć nad tem cierpi. Jutro wyjadę do Wandei. może nigdy nie powrócę.« — »Powrócisz pan,« odpowiedziała Anastazya, spojrzawszy wzrokiem pełnem czucia na Bennezonsa. — »*Może!*« rzekł Bennezons z smutnem przeczuciem, »ale czyż niemam nic zabrać z sobą, coby mi obecne moje szczęście przypomnieć mogło? umierając, całował Bayard krzyż na szabli; on miał wiarę, ja mam tylko miłość i któż odbierze ostatnie moje westchnienie, gdyby mi umrzeć przypadło?« — Anastazya wahała się, ale niedługo zdołała oprzeć się popędowi swego serca; zdjęła więc z palca *srebrny pierścień* szczególnego kształtu i w miejsce odpowiedzi, upuściła go w ręce Armanda. Potem wstała i poszła do swej matki.

Następnego dnia rano wyjechał Bennezons, niepożegnawszy się z Cortailem, którego zimnej rozwagi się lękał. W chwili, kiedy siadał do powozu oddano bohaterowi lipcowemu list z czarną pieczęcią. Przeczytawszy go, opuścił w niezwykłym wzruszeniu mieszkanie i pędził szybko, jak ścigany jeleń, po pobliskich górach. Wieczorem wrócił bez tchu i zmęczony do domu; oczy jejaśniały ponurym ogniem, a na twarzy leżał machiawelistowski. Niemyśląc o obiedzie, obwiązał krepą kapelusz i udał się do pana Montespard. Margrabia był bardzo zadziwionym, kiedy mu służący zameldował bohatera lipcowego. Podniósł się jednakże i przyjął niespodziewanego gościa zimno ale grzecznie. — »Panie Margrabio,« rzekł Alexander Guibout, »krok mój zadziwia pana bez wątpienia; pozwól mi pan wyznać prawdę bez ogródki; źle sobie postąpiłem względem niego, ale proszę, abyś raczył przeszłość puścić w niepamięć. Moją głowę opanował szał ostatnich wypadków w Paryżu, a ten pobudził mnie do niedorzeczności, których teraz żałuję.« — Guibout milczał, jak gdyby oczekiwał wrażenia swojego wstępu. Exper Francyi nic nieodpowiedziawszy, skłonił się tylko głęboko i potem z oczekiwaniem spojrzał na swego gościa. »Moje nowe stanowisko, mówił dalej, nadaje mi obowiązek zadość uczynienia, z którem do pana pośpieszam. Guibout, mój stryj, umarł i uczynił mnie jedynym swoim spadkobiorcą.« — Guibout wymówił ostatnie te słowa mocniejszym nieco głosem i obejrzał się po krześle w przekonaniu, że roczny dochód 80,000 franków nadaje mu prawo siedzenia nawet w przytomności para francuzkiego; ale margrabia znał nadto dobrze swoje stanowisko, aby zgiąć kolana przed złotem ciołkiem, i owszem, zadarłszy głowy do góry, rzekł tylko: »Ach, Guibout umarł! szkoda, on był bardzo uczciwym człowiekiem!« — »On był wzorem uczciwych ludzi i ja będę go do ostatniego tchu mego życia opłakiwać,« odpowiedział Guibout, który już przywykł do żalu spadkobierców. »Ale śmierć jest udziałem każdego. Strata, którą poniosłem, czyni mnie właścicielem hamerni w Montespard; będę zatem najbliższym sąsiadem margrabiego i jako taki przedstawiam się panu. Wiadomo mi jest, że okoliczności wstrzymują margrabiego w takiem oddaleniu od jego posiadłości. Mój stryj miał w naszej okolicy wpływy, które na mnie zapewne przejdą. Pozwól mi zatem margrabia ofiarować mu moje usługi. Jeżeli pan sądzisz, że mu w czemkolwiek będę mógł być pomocnym u sąsiadów jego, uważać się będę za szczęśliwego, jeżeli mi pozwolisz naprawić, com w przeszłym roku zawinił.« — Na to odpowiedział z dumą par Francyi: »margrabia Montespard nie

potrzebuje niczyjej pomocy, aby przemieszkiwać w swoim zamku, gdy to uzna stósownem. Pan się mylisz; ja tu jestem dla poratowania zdrowia i dla niczego innego. Dziękuję panu jednakże za krok przez niego uczyniony. Przewinienie z jednej strony przyznane, powinno z drugiej być przebaczonem. Niemówmy więc o tem, co przeszłego roku zaszło. Chętnie pana przyjmę w Montespard, skoro do dóbr moich powrócę.« — »A teraz, panie margrabio, zaczął Guibout na nowo z niejaką nieśmiałością, pozwól pan zatrudnić się okolicznością, która dla mnie jest bardzo ważną, a dla pana, jak mniemam, niezupełnie obojętną.« — Par Francyi podał Guiboutowi krzesło i sam usiadł na drugiem. »Moja spowiedź będzie krótką,« mówił dalej Guibout. »Od czasu, kiedym w Genewie widział pannę Chateauvieux po raz pierwszy, uczułem ku niej miłość, której nierozważne oznaki zapewne się jej niepodobały, bo po kilka razy surowo mnie za to karała. Jednakże niestraciłem jeszcze zupełnie moich nadziei, a zmiana mego położenia dodała mi nowej odwagi. Majątek mój dozwala mi nadadź pannie Chateauvieux stanowisko godne jej zalet i urodzenia. Niejestem w prawdzie ślachcicem, ale pochodzę z dobrej familii. Matka moja była panną de Saint Gurgon. Margrabiemu, jako przyjacielowi pani Chateauvieux, ośmielam się przedstawić prosbę, od której szczęście moje zawisło. Racz ją wpan wesprzeć, a zobowiążesz mnie na wieki.«

— Margrabia ukrył pozorną obojętnością swoją radość i milczał przez niejaki czas. »Przyznasz pan, rzekł potem, iż mi się namyślec wypada, nim na to odpowiem. Przyjdź pan jutro; do jutra już decyzyą powezmę.« Zwłokę tę podsunął Montespard tylko, aby przyzwoitości zadość uczynić, gdyż decyzya jego była natychmiast powzięta. »Mój panie,« rzekł Montespard nasiępnego dnia, »ja jestem do usług pana, rachuj pan na mnie. Pani Chateauvieux powróci za kilka dni z Genewy. Interesa pana wymagają zapewne bytności jego w Montespard; jedź pan więc i powróć za miesiąc do Genewy. Aż do owego czasu spodziewam się przygotować wszystko do pańskiego przyjęcia.«

(*Dokończenie nastąpi.*)

Kurczę Napoleona. Napoleon zwykł był zasypiać na małem łóżku, a Rustan, który przed drzwiami leżał na materacu, czuwał wiernie nad Cesarzem. Zdarzało się często, że Napoleona złe sny trapiły, jak na lewem boku leżał; mówił przez sen i rzucał się niespokojnie na łóżku; Rustan, zawsze czujny, wchodził wówczas do pokoju, podniósł Cesarza silnemi swemi rękoma i położył go bez dalszej subjekcyi na prawy bok; Cesarz, twardy mając sen, nie gniewał się wcale o to; jeżeli się zaś przebudził, co około drugiej godziny po północy zwyczajnem było, przynosił mu Rustan dobrze upieczone kurczę, z którego Napoleon skrzydełko lub udko spożył. Pewnego razu zasnął Napoleon nieco później i sen miał nieprzerwany, gdyż się niewątpliwie na dobrą stronę położył. Wybiła druga godzina, zwykła pora śniadania, uderzyła trzecia, Napoleon spał, a Rustan, który długo o głodzie czuwał, postanowił zjeść kurczę, które mu się teraz już niepotrzebnem zdawało; zaczął je więc ogryzać i zjadł je prawie całkiem; potem napił się wina i przekonawszy się, że Napoleon śpi, posłał sobie łóżko i zasnął spokojnie. — Nim jeszcze zaświtało, obudził się Napoleon; głód mu dokuczał; wołał na Rustana; Rustan nie odpowiadał; zawołał drugi raz; żadnej odpowiedzi. Cesarz zniecierpliwiony wyskoczył z łóżka i otworzył cicho drzwi. Nie było światła w pokoju, Rustan chrapał. Cesarz chciał przeskoczyć materac mameluka, ale w tej chwili obudził się Rustan, uchwycił nieznajomego za szyję i wołając o pomoc, dusić go zaczął. Napoleon niemógł oddychać; widząc się w niebespieczeństwie zebrał wszystkie swoje siły, padł na wznak i pociągnął za sobą Rustana, który teraz w świetle lampy poznał Napoleona. Można sobie wyobrazić jego przestrach; łzy spływały mu po licach. »Uspokój się — rzekł cesarz — uczyniłeś tylko, co było twoją powinnością, wybaczam ci, niebądź więc dzieckiem. Naj-

lepszym dowodem, żeś mnie nieuszkodził, jest mój apetyt. Daj mi kurczę.«

Rustan przestraszył się nanowo. »Jakto? o tej godzinie?« zapytał się Cesarza.

— »Na głód niema godziny. Daj mi kurczę.«

— »Najjaśniejszy Panie, kurczę....«

— »Czy nie przysposobiono dla mnie kurczęcia?«

— »Owszem, ale to nieszczęsne kurczę.«...

— »Tyś je zapewne pochłonął?«

— »Tak, Naj. Panie...., widząc, że godzina minęła, widząc kurczę....«

— »Zjadłeś je?«

— »Tak jest, Najj. Panie.«

— »Czyś je całe zjadł?«

— »Prawie..., ale Najj. Panie...«

— »Daj mi pokój z najjaśniejszym panem. Ja chcę wiedzieć, coś z tego kurczęcia pozostawił.«

Rustan poszedł, aby nadadź tym ułamkom przyzwoitą całość. Napoleon siadł temczasem do stołu i czekał z niecierpliwością. Drżący, postawił Rustan swoje dzieło mistrzowskie na stole. Napoleon policzył kawałki i podziwiał sztukę, z jaką Rustan te zwaliska uporządkował, a zjadłszy parę kawałków, poklepał Rustana po plecach.

Namiętny lekarz. Nawet u lekarzy może wykonywanie sztuki rozwinąć się do namiętności. Matonin, lekarz jednego z królów francuzkich, tak lubił zapisywać lekarstwa, iż znajdując pewnego razu wszystkie flaszeczki i pudełka od pigułek u swego pacyenta próżne, ustawił je porządkiem na stole. i zawołał w uniesieniu: »Ach, Najj. Panie, szczególną mi sprawia przyjemność leczyć Waszą Król Mość, bo Wasza Król. Mość *zasługujesz* na to istotnie, abyś chorował.

DZIECIĘ.

Gdzie idziesz dziecię w śród burzliwej nocy?
Czego tak płaczesz maleńka kruszyno?
Wiatr tobą chwieje, niemasz widzę mocy
Gdzieś się wybrała stroskana dziecino?

Czy mamy drogiej czyli szukasz tatki,
Ja ich wynajdę, ja temu poradzę;
Czyliś zbłądziła od rodzinnej chatki,
Opisz mi miejsce, ja cię zaprowadzę.

„Ach panie! nigdzie ja przytułku niemam,
Nie wstanie jeszcze me siły pracować,
Czyliż się słaba gdziekolwiek utrzymam?
Próżniaka ludzie niepowinni chować.

A mamę, ojca, śmierć mi już wydarła,
Sierotą jestem nędzną bez pomocy,
I błądzę choć się ciemność rozpostarła,
Błądzę w śród burzy, błądzę pośród nocy.

Najlepsza mamo, o gdybyś ty wstała!
I gdyby Pan Bóg dał ci życia chwilę,
Czylibyś teraz Leosię poznała?
Leosię, córkę, co cię kocha tyle.

Lecz niewstaj mamo, nie, tego nie żądam,
Boś mi mówiła, że tam lepiej w Niebie;
Ja też już tylko tej chwili wyglądam!
W którejbym mogła ucałować ciebie.

Powiedzieć wszystko, co zemną robili,
Jak byłam biedna i jak opuszczona,
Jak od przyjaciół, co mamę lubili,
Od krewnych, na świat byłam wypędzona.

Więc chcesz iść ze mną, kochana dziecino?
Między me dziatki, tu na bliskie błonie?
I ja mam taką pociechę jedyną,
Tak jak ty dobrą, tak jak ty Leonię.

O jakżeś dobry, mój łaskawy panie!
O jakże mama dziękować ci będzie,
O jakież tata da ci uściskanie,
A ja cię kochać będę zawsze, wszędzie.

Idziem, w tym xiężyc z zachmur się przedziera,
Ustaje burza, cichość następuje,
Blade się światło bardziej rozpościera;
Lecz ja dziecięcy już w ręku nieczuje.

Strwożonym wzrokiem poglądam do koła,
Niewidzę nigdzie... aż w jasności słońca,
Rzekła mi: panie, mama mię już woła,
Tam będę w szczęściu, a w szczęściu bez końca.

Tam będę z mamą za cię błagać Boga,
Boś nieopuścił sieroty na ziemi;
Tu ci rozkosznie przejdzie chwila błoga,
A tam, tam razem będziem szczęśliwemi.

Marcelli z Ostrołęki.
